Francisco Azevedo

RYŻOWY podarunek

TYTUŁ ORYGINAŁU:
Once Upon A Time In Rio

Kompleksowe opracowanie redakcyjne oraz skład: Studio Editio
Projekt okładki: Ilona Gostyńska-Rymkiewicz
Zdjęcie na okładce: sutichak (fotolia.pl)

Copyright © Francisco Azevedo, 2008

Copyright © 2016 for Polish edition by Wydawnictwo Kobiece,
an imprint of ILLUMINATIO Łukasz Kierus
Copyright © for Polish translation by Daria Kuczyńska-Szymala

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2016
ISBN 978-83-65506-16-0

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:
www.facebook.com/kobiece

WYDAWNICTWO KOBIECE

www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo Kobiece
E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl
Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie
www.wydawnictwokobiece.pl

Druk i oprawa: OZGraf

Rodzina to trudne danie

Ja, tutaj, w majątku. Ja, tu w kuchni tuż po czwartej nad ranem. Isabel jeszcze śpi, a słońcu się nie śpieszy. Ja, tutaj, stary człowiek, osiemdziesiąt osiem lat. Dla młodszego pokolenia Wieczny Dziadek, który nie ma ani początku, ani końca, który przyszedł na świat od razu z pomarszczoną twarzą. Ja tutaj, w białym fartuszku, siekający zioła. Przygotowuję lunch dla rodziny. Czy starczy mi sił? 88 – dwa symbole nieskończoności w pionie. To dobry wiek. I to będzie dobry posiłek. Mam mnóstwo doświadczenia.

Ciotka Palma nauczyła mnie gotować, gdy byłem mały. Gdzie się teraz podziała? Czasem nie pojawia się przez dłuższy czas. Czasem widzę ją, jak wędruje po domu z mamą i tatą, nawet nie potrzebuję okularów. Zjawiają się w różnym wieku, szczęśliwi lub zmartwieni, gadatliwi albo milczący. To zależy od dnia albo od momentu, w którym ich widzę. Wyobraźnia? Demencja? Zatracam się. Czyżby? Przyłapuję się na rozmowach z chłopcem, którym kiedyś byłem. Albo na pisaniu na głos do samego siebie. Rozmawiam z tymi, którzy są mi drodzy, a teraz znajdują się daleko w czasie i przestrzeni. Czasem boję się, pogwizduję sobie w ciemności. A potem nagle światło. Film! Puszczam sobie historie. Znowu widzę moje rodzeństwo w dzieciństwie, całkiem wyraźnie, przeskakujących jedno przez drugie, biegających tam i z powrotem, i tarzających się jak małe szczeniaki. Widzę znowu moją Isabel, zakochaną. Widzę znowu dzieci, gdy były jeszcze blisko i były moje. Żywe wspomnienia pod każdym względem: smaku, zapachu, dźwięku, obrazu i dotyku. Idę dalej. Dalej aż do teraźniejszości – którą uwielbiam! – a potem w kierunku tego, co wskazuje akurat mój nos, a wzrok dosięga. Idę dalej, tam,

gdzie prowadzić może już tylko nadzieja. Jestem przeszłością, teraźniejszością, przyszłością – trzy odrębne osoby w jednym, tajemnica Trójcy Ziemskiej. Zwierzam się wam, a wy dotrzymujecie mi teraz towarzystwa, czytając moje myśli.

Stary człowiek tęskni za mamą i tatą. To było tak dawno temu! Stary człowiek pragnie być przytulony, nakarmiony łyżeczką, która zbliża się z daleka z warkotem samolotu, chce być – po kąpieli – położony do łóżka, gdzie jest kojąca, świeża pościel i miękkie poduszki. Ulubiona bajka, kołysanka, całus na dobranoc. Odrobinę uchylone drzwi sypialni, zapalone światło na korytarzu – zawsze dobrze jest mieć jakiś punkt odniesienia. Stary człowiek czuje brak autorytetu. Kto osądzi go bezstronnie i mądrze? Kto lepiej od niego samego będzie wiedzieć, jak rozważyć sprawę? Stary człowiek jest dzieckiem o innym rodzaju energii. Nie interesuje go już bieganie po ogrodach, huśtanie się na huśtawkach, do przodu, do tyłu, w górę i w dół. On chce się teraz wzbić w niebo, uwolnić stworzenia, które kolekcjonował przez całe życie. Wszystkie stworzenia – dzikie i oswojone, pożyteczne i szkodliwe. Ciężkie gady, które wciąż nosi w swoim sercu, motyle i ryby, małe ptaszki, wszystkie je wypuścić do góry! Ciotka Palma zwykła mawiać, że stary człowiek tuż przed śmiercią wie o sobie najwięcej i najmniej. Jest jednocześnie słoniem i modliszką. Sekwoją i dzikim kwiatem, oceanem i kałużą po deszczu, grzbietem górskim i ziarenkiem soli. Twierdziła, że doskonale wiemy, kiedy następuje moment przemiany. Dusza zaczyna wydawać wszystkie dźwięki natury: wiatru, wody, kroków ludzi na żwirze, płonącego ognia, skrzypiącego drewna, urywanych oddechów i nagłego trzepotania skrzydeł. Oto chór – głosy zwierząt. Dusza starego człowieka mruczy groźnie – druga część koncertu. Dusza ryczy, wyje, krzyczy, rży i muczy. A potem brzęczy, kląska i ćwierka. Uwalnia się w kierunku nieskończoności i wtedy, tak, wtedy – sopranem, tenorem, kontraltem, basem – śpiewa najpiękniejszą

arię z najpiękniejszej opery! Gdy byłem dzieckiem, nabożnie jej wierzyłem. Później, jako dorosły mężczyzna, uważałem, że to śmieszne. Jakiś czas temu znów zacząłem jej wierzyć.

To właśnie w kuchni odpuszczam sobie i uwalniam zwierzęta. To właśnie w kuchni podróżuję bez paszportu, bez biletu, bez przechodzenia przez lotniskowe bramki. Władze chcą moich odcisków palców? Są w cieście zagniatanym na chleb. Chcą zdjęć? Mam kilka, *en face* i z profilu, z rodzicami, z rodzeństwem i z tymi, którzy nadeszli później. Mówione portrety – głośne, cała rodzina mówi naraz. Buntownicza rodzina. Święta rodzina…

Muszę się skupić. To bardzo ważne. Dlaczego? Och, co za pytanie! Rodzina to niełatwe danie. Mnóstwo składników. Zebranie ich razem jest trudne – zwłaszcza w Boże Narodzenie i Nowy Rok. Jakość garnka nie ma znaczenia. Przygotowanie rodziny wymaga odwagi, poświęcenia i cierpliwości. To nie dla każdego. Te małe triki, te sekrety, te niespodzianki. Czasem wystarczy, żeby mieć ochotę to wszystko rzucić. Wolimy już dyskomfort pustego brzucha. Do tego dochodzi jeszcze lenistwo, brak pomysłów na to, co zjemy oraz brak apetytu. Lecz życie – zielona oliwka nabita na wykałaczkę – zawsze znajdzie jakiś sposób, żeby nas pobudzić i przywrócić apetyt. Czas nakrywa do stołu, określa liczbę krzeseł i ich ustawienie. I nagle, niczym jakiś cud, rodzina zostaje podana. Jedna osoba okazuje się być najmądrzejsza ze wszystkich. Tamten z kolei jest przygotowany idealnie, najdowcipniejszy i najrozmowniejszy, wszyscy są tego zdania. A jeszcze inny, jak on ma na imię – kto by pomyślał? – nie wyrósł, stwardniał i przedwcześnie zwietrzał. Ten jest najtłuściejszy, najbardziej hojny, obfity, bogaty. Tamten zaskoczył wszystkich i wyjechał, by żyć gdzieś daleko. Ta jest najbardziej zakochana. A tamta najbardziej konsekwentna.

A wy? Tak, wy, wy, którzy czytacie moje myśli i znaleźliście się tutaj, by dotrzymać mi towarzystwa. Jak wypadliście

w albumie rodzinnym? Jako najbardziej praktyczni i obiektywni? Najbardziej sentymentalni? Najbardziej wymagający? Jako ci, którzy zawsze migają się od pracy? Kimkolwiek jesteście, nie siedźcie i nie obruszajcie się na tego rodzaju porównania. Zbierzcie wszystkich, którzy są wam bliscy i których nie lubicie, ale stanowią część waszego życia. Nie ma pośpiechu. Poczekam. Są tam? Wszyscy? Doskonale. A teraz załóżcie fartuszki, wybierzcie deseczkę, najostrzejszy nóż i bądźcie ostrożni. Wkrótce wy też będziecie cuchnąć cebulą i czosnkiem. Nie przejmujcie się, jeśli zapłaczecie. Rodzina to wzruszające danie. A my płaczemy – z radości, wściekłości lub smutku.

Pierwsza uwaga: egzotyczne przyprawy zmieniają smak pokrewieństwa. Niemal zawsze pochodzą z Afryki i ze Wschodu i wydają się naszym podniebieniom dziwne, lecz jeśli dodane zostają z rozwagą, sprawiają, że rodzina ma intensywniejsze barwy. Jest bardziej interesująca i smaczniejsza.

Uważajcie też na wagi i miary. Szczypta za wiele tego czy owego i po wszystkim – całość to totalna katastrofa. Rodzina to najbardziej delikatna potrawa. Wszystko musi być uważnie zważone i dobrze zmierzone. I jeszcze jedno: trzeba mieć dobrą rękę, trzeba być profesjonalistą. Zwłaszcza w momencie, gdy decydujemy się zamieszać w garnku. Mieszanie w garnku to prawdziwa sztuka. Moja dobra znajoma powiedziała mi kiedyś, że zepsuła przepis na całą swoją rodzinę, bo zamieszała w garnku w nieodpowiedniej chwili.

Najgorsze jest to, że wciąż są ludzie, którzy wierzą w przepis na idealną rodzinę. To nonsens. Kompletna fikcja. Nie ma czegoś takiego jak „Rodzina *Carbonara*" albo „Rodzina *à la Belle Meunièure*", „Rodzina *Marinara*" czy „Rodzina *à la Cabidela*" – w przygotowaniu tego ostatniego przysmaku szczególnie istotna jest krew. Rodzina to bliskość, ona zawsze jest *à la maison*, po domowemu. A każdy dom lubi przygotować rodzinę na swój sposób.

Są rodziny, które są słodkie. Inne – lekko gorzkie. Jeszcze inne mocno pikantne. Są też takie, które zupełnie nie mają smaku – takie jakby „Rodziny dietetyczne", które toleruje się tylko po to, by zachować figurę. Bez względu na wszystko, rodzina to danie, które zawsze podaje się na gorąco, na bardzo gorąco. Zimna rodzina jest nie do zniesienia, nie do przełknięcia.

Są rodziny, których przygotowanie wymaga dużej ilości czasu. Te przepisy pełne zaleceń, że to czy tamto trzeba zrobić tak albo siak – koszmar! Tymczasem inne pojawiają się nagle, z godziny na godzinę, w wyniku niekontrolowanego fizycznego przyciągania – niemal zawsze w nocy. Budzisz się pewnego ranka, pełen radości życia, patrzysz, a rodzina już gotowa. I dlatego warto wiedzieć, w którym momencie zmniejszyć ogień. Widziałem rodziny, które zniszczył za duży ogień.

W każdym razie przepis na rodzinę to nie jest coś, co można skopiować, tylko coś, co trzeba wymyślić. Ludzie uczą się stopniowo, improwizując i przekazując to, czego się nauczyli z dnia na dzień. Bierzemy jedną radę stąd, od kogoś, kto się zna i chętnie się podzieli, inną stamtąd, bo ktoś zapisał ją na skrawku papieru. W pamięci ginie mnóstwo rzeczy. Zwłaszcza w pamięci starego człowieka, nieco już zniedołężniałego, jak ja. Co taki kucharz weteran może wam powiedzieć? Rodzina, nawet jeśli nie wygląda apetycznie, nawet jeśli nie smakuje najlepiej, jest potrawą, której musicie spróbować i którą naprawdę powinniście zjeść. Jeśli możecie jej spróbować, spróbujcie. Nie zwracajcie uwagi na etykietki. Umoczcie chleb w odrobinie sosu, który został na talerzu, w misce albo w garnku. Cieszcie się tym, jak się da. Rodzina to danie, którego, gdy jest już gotowe, nie da się powtórzyć.

Ślubny prezent

Owszem, mam przebłyski świadomości. Nazywam się Antonio. Antonio, i jak dalej? Antonio, i wszystko to, co przeżyłem i przeszedłem, wszystko to, co przeżywam i przechodzę teraz. Później jest łatwiej. Odejdę – tak jak odeszło już wielu – by zrobić miejsce dla niezliczonych istnień, które dopiero nadejdą. Pewnego dnia, taktownie, stary człowiek, który długo żył, podziękuje za okazaną mu uwagę, zamknie grzecznie oczy, wstanie i odda swoje miejsce dziecku, które ma się pojawić, komukolwiek, kto ma właśnie nadejść. Jesteśmy rodziną, my wszyscy.

Tak, to ja, Antonio. Starszy syn Joségo Custódia i Marii Romany. Moi rodzice przyszli na świat w Viana do Castelo, na północy Portugalii. I tam się pobrali, 11 lipca 1908 roku, i zostali obsypani ryżem na szczęście. Ciotka Palma z uczuciem opisywała tamtą scenę: ryż niczym gwałtowny deszcz padający na nowożeńców, gdy wychodzili z kościoła. Sypano całymi garściami. Biała ulewa niemająca końca. Nigdy wcześniej nie było takiej obfitości życzeń szczęścia.

– To najszczęśliwszy dzień mojego życia! – Ciotka Palma naśladowała głos mojej matki. A potem oszołomionego ojca: – Dziś zabieram ze sobą moją miłość! – A potem wszystkich gości: – Niech żyje Maria Romana! *Viva*! Niech żyje José Custódio! *Viva*!

Gwizdy, łzy radości. Ciotka Palma pamiętała te wszystkie słowa, naśladowała mimikę, tiki, ton głosu każdego krewnego, wyraz twarzy przyjaciół. I byłem tam ja, z szeroko otwartymi oczami, urzeczony jej opowieścią, postaciami, tłem, strojami z epoki. Nie byłem tam osobiście, to było na długo przed moimi narodzinami, ale byłem częścią tego wszystkiego. Dostrzegałem najdrobniejszy detal. Jedna z moich ulubionych scen: bukiet z kwiatów pomarańczy leci do tyłu, najpierw unosi się zdumiewająco

wysoko w błękit, wśród panien wybucha zamieszanie, a potem przyprawiający o zawrót głowy upadek prosto w ręce tej, która jest niewidoma od urodzenia, jedynej spośród dziewcząt, która nie przepychała się łokciami – nie wykonała najmniejszego ruchu, by spróbować pochwycić pewność, że będzie następną w kolejce do zamążpójścia. Szczęście przyszło do niej bez wysiłku, to była kwestia chwili. Zdumienie, wszyscy umilkli. Niezręczna cisza. Kto by się spodziewał? Niektóre z panien nawet protestowały. Ale to była ona. Ta, która nawet nie mogła docenić piękna, które jej się przytrafiło. Po co więc te białe płatki, zieleń listków, wstążka zawiązana w kokardę z takim kunsztem i starannością? Wszystko to bezużyteczne, utracone w całkowitej ciemności. Niczym orzechy dla bezzębnego. I wtedy niewidoma dziewczyna uśmiechnęła się promiennie, bo zapach i dotyk były silniejsze od barw. Czyjeś oklaski przerwały szok. Ktoś jeszcze dołączył. A potem wszyscy zaczęli klaskać, nawet zawiedzione rywalki. Kto miałby osądzać, kto zasłużył, a kto nie? Kto ośmieliłby się wyjaśnić niewytłumaczalne? Jest w tym jakaś logika. Bo czy rzut do tyłu nie jest lotem na oślep? Bóg Niebieski działa w tajemniczy sposób, a bukiet mojej matki, Marii Romany, wylądował w ciemnościach, gdzie ukryta była miłość. Tak, to z pewnością jedna ze scen, które ze mną pozostały.

Ciotka Palma była moim teatrem – co za repertuar! Co za spektakle! Ale przedstawienie przerywano w najlepszym momencie każdej opowieści. Obrażony krzyżowałem ramiona. Pora spać. Naprawdę muszę teraz?

– Antonio, nie grymaś. Bo jutro nic ci nie opowiem! Pora do łóżka, jest późno. Zaniosę cię, chodź.

Jej propozycja wystarczała, żeby mnie przekupić. Ja, chudy sześciolatek z psotnym chichotem wczepiałem się rękami i nogami w jej wygodne objęcie – objęcie pozbawione jakiegokolwiek podparcia. Uścisk ciotki Palmy był niczym otwarte łono, które niosło mnie, jak kabriolet, przez fantastyczny świat –

świat, który fascynował mnie tym bardziej, że znałem jego bohaterów, mieszkałem z nimi.

Kolejnego wieczoru, tuż po kolacji, siedziałem niecierpliwie przed fotelem. Zwykłym fotelem. Zwykłym? Oczywiście, że nie. Dla mnie to był fotel-scena, fotel-kurtyna, fotel-dekoracja, fotel--wszystko. A w nim promieniejąca własnym światłem Palma – teraz nie ciotka, lecz aktorka. Zawsze w czerni i zawsze nieprzewidywalna. W niektóre wieczory poważna. W inne swobodna. Czasem skora do śmiechu. Kiedy indziej pełna napięcia. I nagle dzieje się coś magicznego – wypowiedziane zostaje słowo! Na pierwszym planie pojawia się przeszłość. A ja, pomarszczony chłopiec, tu w kuchni, wciąż podróżuję w barwny czas przeszły.

– Niech żyje Maria Romana! *Viva*! Niech żyje José Custódio! *Viva*!

Wszyscy ruszają za nowożeńcami. Lecz ciotka Palma zostaje z tyłu, jej wzrok przyciąga ryż rozrzucony na placu przed kościołem. Dla niej ten szeroki, biały, ziarnisty haft, to nie oznaka marnotrawstwa, lecz hojności. Efekt zbiorowego rękodzieła. Konkretny dowód na to, że surowy, nieczuły człowiek może, choćby tylko na kilka chwil, poznać, co to delikatność i poezja. Pośpiesznie zaczyna zbierać cały ten ryż. Nie zostawia na bruku nawet jednego ziarenka. W domu, ważąc to, co uzbierała, cieszy się z aż dwunastu odważników ustawionych na wadze. Dwanaście kilo ryżu! To będzie prezent ślubny, który da swojemu bratu, Josému Custódio i swojej drogiej bratowej, Marii Romanie. Na kartce zapisuje, niezbyt ładnym pismem, mądre słowa:

Ten ryż – który wyrósł z ziemi, spadł z nieba niczym manna na pustyni i został zebrany z kamienia – to symbol płodności i wiecznej miłości. Oto moje błogosławieństwo.

Palma
Viana do Castelo, 11 lipca 1908

Matka jest zachwycona prezentem, wzruszona do łez. Ojciec natomiast uważa, że to śmieszne, wręcz obraźliwe. I oto ironia losu: ryż ciotki Palmy, podarowany z taką miłością, staje się przyczyną pierwszej kłótni małżonków.

– Jedenasta, José! Właśnie skończył się pierwszy dzień naszego małżeństwa!

– To jak sen.

– Palma była cudowna.

– To wariatka. Ta kobieta jest moją siostrą, ale to wariatka.

– Jest wspaniała. Kobieta, która straciła matkę w wieku szesnastu lat i dała radę sama wychować pięcioro rodzeństwa, zasłużyła na mój podziw i szacunek.

– Irytują mnie jej przemowy. Zawsze mówi takie niestosowne rzeczy. Uważa się za romantyczkę, ale tak naprawdę nie ma żadnych manier.

– Palma jest romantyczką. Niezrozumianą romantyczką.

Pukanie do drzwi. Ojciec i matka są zaskoczeni.

– Spodziewasz się kogoś?

– José, nie bądź śmieszny!

Oboje ogarniają się w pośpiechu. Ojciec idzie otworzyć drzwi.

– Palma?!

Ciotka wchodzi z ciężkim konopnym workiem. Z ulgą odkłada go na stół.

– Co to niby jest?!

Ciotka Palma nie odpowiada mu, podchodzi prosto do matki. Kobiety obejmują się czule i całują.

– Mario Romano, wyglądałaś tak pięknie! Dzięki tobie zniosłam jakoś tę pełną zabobonów paplaninę wrony w sutannie.

Ojca irytują jej zuchwałe komentarze.

– Dom Plácido to nasz wuj, zasługuje na więcej szacunku!

– W chorobie i w smutku, w biedzie i w starości, dopóki śmierć was nie rozłączy! Dobry Boże, to nie błogosławieństwo, tylko klątwa!

Matka ledwo powstrzymuje chichot. Ojciec, rozzłoszczony, próbuje sprawdzić, co jest w worku.

– Co ty tam masz? Proch strzelniczy?

Ciotka Palma trzepie go po rękach, wyjmuje kartkę z kieszeni sukni i wręcza ją matce. Maria czyta po cichu, a w tym czasie każde z rodzeństwa oczekuje czegoś zupełnie innego.

– José, nie uwierzysz!

– Już nie wierzę.

– To ryż z naszego ślubu!

Zaskoczony ojciec. Zdenerwowana ciotka Palma wyciera spocone ręce w suknię. Matka czyta kartkę na głos. Patrzy na męża, czeka na słowo albo prosty gest podziękowania, jakąkolwiek reakcję. Nic. Moment wielkiego napięcia. Ciotka Palma opiera się o stół, nie spuszcza wzroku, nie daje się zastraszyć wielkiemu Portugalczykowi, który idzie w jej stronę. Ciężkie kroki wstrzymywanego gniewu. Brat i siostra twarzą w twarz. Każde czuje ciepło i oddech drugiego.

– Posłuchaj, Palmo. Może i jestem biedny. Prawdziwy nędzarz. Ale nikt nigdy nie zobaczy, jak jem brudny ryż, który zebrano z ziemi, resztki tego, czego inni nie chcieli.

– Nie dziwi mnie, że tak myślisz. Zawsze zżerała cię duma.

– José, ten prezent to wyraz miłości. Naprawdę tego nie widzisz?

– To śmieszne! To obraza! Czuję się poniżony jako mężczyzna i głowa tej rodziny!

Ciotka Palma próbuje zabrać worek. Matka ją powstrzymuje.

– Prezent zostaje.

– Nie chcę śmieci w moim domu!

Ciotka Palma zaczyna płakać.

– Śmieci?! Ryż od twoich przyjaciół i krewnych, którzy błogosławili wasz związek?

– Tak, śmieci! Kupa bezużytecznego śmiecia, skoro pytasz.

Ciotka Palma rzuca się na ojca. Kłócą się. Matka próbuje ich rozdzielić i to ona obrywa ciosy.

– Na litość boską, przestańcie!

– Dziwadło! Skąpiradło!

– Przeklęta niech będzie godzina, w której urodziliśmy się jako brat i siostra! Niebiosa sprawią, że zapłacisz za swoje okrucieństwo!

– Idź lepiej, wydaj parę groszy i kup mi prezent, który byłby wart cokolwiek!

Ciotka Palma wychodzi zapłakana. Atmosfera jest ciężka. Grobowa cisza. Matka ma ochotę udusić ojca, pali ją od środka, ale potrafi nad sobą zapanować.

– I ty twierdzisz, że to Palma nie umie się zachować.

– Wystarczy. Koniec tematu. Oddaj komuś ten ryż. Palma nie musi wiedzieć.

– Ten ryż to prezent. I zostaje.

– Proszę bardzo. Zatrzymaj sobie ten cholerny podarunek. Z czasem spleśnieje, zalęgną się w nim robaki i tak będziesz go musiała wyrzucić.

– Posłuchaj mnie, José Custódio, mój ukochany. Ten ryż to miłość, czysta miłość. Nie zepsuje się.

Ojciec miał mnóstwo zalet, ale był dumnym i zrzędliwym facetem. Ciotka Palma miała teorię, która doskonale wyjaśniała podły humor mojego ojca – zatwardzenia. To prawda. Ojciec cierpiał na koszmarne zatwardzenia. Ciotka Palma nauczyła mnie, że ludzie z zatwardzeniami łatwo się denerwują. I to chyba był taki przypadek, gdy teoria zawsze sprawdzała się w praktyce. Za każdym razem, gdy ojcu powiodło się w toalecie, wiedziała o tym cała rodzina. Po prostu był, całkiem dosłownie, lżejszy. Jeśli ktoś musiał go o coś poprosić, pilnował, kiedy idzie do toalety, bo to mógł być idealny moment. Jeśli się udało, ojciec wychodził z łazienki w prawdziwym stanie łaski. Oczyszczony.

Szybko się też nauczyłem, że ciało ma inne sposoby na oczyszczenie. Mocz, menstruacja, wymioty, pryszcze, nasienie, smarki i pot, wszystko to nas oczyszcza. Wszystko, co ciało z siebie wydala, to oznaka oczyszczenia. A łzy to najwyższy sposób, w jaki możemy się oczyścić. Najpełniejszym jest urodzenie dziecka.

Bernardo i odrobina Rosário

Ja, tu w majątku. Ja, tutaj w kuchni, tuż po czwartej nad ranem. Ja, tutaj, w białym fartuszku, otoczony duchami i wspomnieniami. Nie sugeruję, że jestem martwy, wręcz przeciwnie. Cieszę się idealnym zdrowiem. Sprawdziłem się już dzisiaj w lustrze. Nie zobaczyłem niczego, co przypominałoby słonia albo modliszkę, grzbiet górski albo ziarenko soli. Oto dowód: mamy rok 2008. Mam kablówkę, która nadaje programy z całego świata. Zmieniam kanały, to prawda, ale po to przecież jest pilot. Oglądam filmy, wywiady i programy informacyjne. Mogę ćwiczyć francuski, angielski. Lubię te japońskie programy z publicznością w studiu, choć nie rozumiem ani słowa. Kiedyś miałem odtwarzacz video. Teraz mam odtwarzacz DVD. Obraz i dźwięk są bez porównania lepsze. Mam świetny system audio, wśród moich płyt CD jest i Mozart, i ścieżki dźwiękowe telewizyjnych seriali. Mam bezprzewodowy telefon z automatyczną sekretarką i faksem. I można też się ze mną skontaktować przez komórkę. Mam internet i uwielbiam korzystać z czatów.

To mój wnuk Bernardo zaznajamia mnie z najnowszymi wynalazkami techniki. Co trochę przyjeżdża z Rio de Janeiro z jakąś nowością. Jest taki podobny do mojego ojca, Joségo Custódia, gdy ten był młodym człowiekiem. Wnuk to dobra rzecz dla zdrowia. Jeśli dziadek to ojciec z dodatkiem cukru, to wnuk jest synem z dodatkiem białka, witamin i składników mineralnych. Przytulanie wnuka co dwadzieścia cztery godziny idealnie zastępuje wszystkie lekarstwa. Moje ciało z wdzięcznością przyjmuje samą świadomość, że Bernardo jest tuż obok.

Bernardo przywozi mi życie, młodość. I kłopoty rodzinne. Nic tragicznego, nic dramatycznego. Kłótnie z ojcem, z matką,

pragnienie opuszczenia domu i usamodzielnienia się, drobne codzienne troski. Och, takie trywialne komedie sytuacyjne. Zawsze mu powtarzam, że to wszystko głupstwa, że tacy właśnie są ojcowie i matki, że musi być cierpliwy. I tyle innych banałów dotyczących typowych problemów typowej rodziny. Pewnego dnia, późnym popołudniem, spędziliśmy trochę czasu, siedząc na werandzie. Bernardo opowiedział mi o swojej dziewczynie. I o innej dziewczynie, w której się kocha. Nie wie, co robić. Nie może mieć ich obu. A może jednak? Uznałem, że to zabawne. Odkryłem, że młodzi ludzie dziś, choć są chronieni najbardziej zaawansowanymi technologicznie zabezpieczeniami, wciąż mają tę samą trudność, co ich przodkowie: nie wiedzą, kiedy zmniejszyć ogień. Wytłumaczyłem mu, że nie mają sensu programowane komputerowo mikrofalówki, mrożone posiłki, zupki w proszku i inne nowoczesne wynalazki: w kuchni zawsze będą niespodzianki, zawsze będzie coś, czego trzeba się nauczyć. Maszyny mnożą się i ewoluują w takim tempie, że nie ma nawet czasu na konflikt między jednym pokoleniem a następnym. Ale my, ludzie – nawet ci z najnowszej generacji – jesteśmy zbyt powolni. Dokonujemy postępów z minimalną prędkością. Potrzeba nam dekad, żeby rozpoznać własne sukcesy i porażki. Gdy po wielkich staraniach stajemy się mistrzami sztuki kulinarnej, gdy potrafimy dobrze przygotować deser nawet z zamkniętymi oczami, wielu osób już nie ma. Rodzina, która siada do posiłku, to jest już inna rodzina. A my nie jesteśmy już wnukami, tylko dziadkami.

Bernardo nie znał mojego ojca, Joségo Custódia ani mojej matki, Marii Romany, nie słyszał też opowieści ciotki Palmy. Stary fotel wciąż istnieje, wciąż tam jest, na tym samym miejscu. Nie miałem odwagi oddać go do renowacji. Dla mnie to teatr ze zgaszonym światłem, zasuniętą kurtyną, pustą sceną. Dla mojej córki, Rosário, która jest projektantką, ten fotel to koszmarny grat. Wszystko w nim jest okropne, naprawdę.

Nic do niczego nie pasuje. Podłokietniki, cóż, lepiej o nich nie wspominać. Zupełnie nieproporcjonalne. To jedna wielka katastrofa. Córka nie rozumie, dlaczego upieram się, by nadal go trzymać. Niespecjalnie ją interesuje, że w tym fotelu siadywała jej stryjeczna babka Palma, żeby opowiadać mi historie. Rosário wypowiada się jak uznana artystka i kończy temat. Rosário, artystka. Rozmawiać w taki sposób o fotelu z taką biografią?! Staram się zrozumieć. Wrażliwość zmienia się z pokolenia na pokolenie. O gustach się nie dyskutuje – mówię – nawiązując do starego powiedzenia. Piękno jest w oczach odbiorcy – odpowiada Rosário, nawiązując do starego powiedzenia. Gdy w grę wchodzi sentyment, sprawy natury estetycznej się komplikują – zgadzamy się oboje. Bernardo nie angażuje się w spór. Uważa, że to śmieszne. Dla niego ten fotel jest po prostu niewygodny. Nawet nie jest taki brzydki.

Miary miłości

Wyraz jej twarzy niczego nie zdradza. Czy dzisiejsza opowieść będzie smutna? Czyje głosy będzie naśladować? Jaka sceneria się ukaże, gdy odsłoni kurtynę? Jadalnia? Alejka w Viana do Castelo? Czy to będzie dzień? A może… Ciotka Palma odchrząkuje, czeka chwilę, a potem z powagą rozpoczyna.

Akt pierwszy. Jest późny wieczór – mówi mi. Ogarek świecy na blacie stołu ledwo oświetla twarze. Matka i ojciec, kilka miesięcy po ślubie, nie mają co jeść. Nie ma nic. Żadnych warzyw, owoców, ziarna, nic. Matka łagodnym, pełnym szacunku głosem proponuje ryż. Odpowiada jej wściekłość, walnięcie w stół i śmiech, który brzmi jak płacz.

– Ryż Palmy?

Kolejny głośny śmiech, a potem łzy. Ojciec nie panuje nad sobą.

– Ryż Palmy, nigdy! Kara, potępienie, proszę bardzo! Umrę z głodu, ale ten ryż, który zamieciono z ziemi, nigdy!

– Ryż Palmy jest błogosławiony. To ryż, który wyrósł z ziemi, spadł z nieba i został zebrany z kamienia.

Matka spokojnie wstaje, idzie cicho do sypialni i znika w ciemnościach. Ojciec zostaje. Migotanie świecy. Resztka człowieka, który zżera sam siebie z powodu drobiazgu. Jaki sens ma wściekłość i zgorzknienie?

– Jaki sens ma…?

Przedłużająca się cisza ze strony ciotki Palmy zaskakuje mnie. Dramatyczna pauza? Nie, wyraźnie nie. Doskonale znam pauzy, które mają podkreślić napięcie. Wyczuwam, że zawiódł ją własny głos i że aktorka nie chce, żebym ja, jej publiczność, to sobie uświadomił. Zna wszystkie sztuczki, próbuje mówić dalej.

– Jaki sens ma…?

Kolejna pauza. Ciotka Palma jest wzruszona. Te łzy nie są elementem opowieści. Milczy, pociąga nosem, ociera oczy. Głupio się śmieje. To nie pomaga – ten głupi śmiech też nie jest elementem opowieści. Nie jest, ja wiem, że nie jest. Siedząca przede mną kobieta nie jest już aktorką – jest moją ciotką. Scena zamieniła się z powrotem w fotel, widzę to na własne oczy. A więc, skoro przedstawienie zostało przerwane, mogę podejść do niej bez obawy, że okażę brak szacunku. Przytulamy się. Obsypuje mnie pocałunkami i chowa pod swoje wielkie skrzydła.

– Nie pytaj mnie, dlaczego, Antonio. Ja sama nie wiem. Jesteś jeszcze chłopcem, nie chcę cię zranić ani namieszać w twojej małej główce. Bardzo lubię twojego ojca. Wiesz, że on i ja byliśmy bardzo dobrymi przyjaciółmi, lecz powinieneś poznać całą historię o ryżu. Twoja matka dała mi pozwolenie, żebym ci wszystko opowiedziała. Nie pytaj mnie, dlaczego.

Całe moje ciało przeszedł dreszcz, taki, jaki czasem odczuwam, gdy kończę sikać. Ale to coś innego, ja wiem. I wtedy uświadamiam sobie, że ten dreszcz pochodzi stąd, że nie jestem już bratankiem, tylko aktorem, a ona znowu jest aktorką. Stąd te skrzydła zamiast rąk! I fotel jest sceną, a my przytulamy się do siebie, bo ja też jestem częścią tej sceny i nadeszła pora na moją kwestię. To mój debiut. Mój niespodziewany, od tak dawna wyczekiwany debiut.

– Nie martw się. Lubię ryż. Wszystko jedno, czy kleisty czy sypki, lubię ryż.

Kończę moją kwestię z największą szczerością:

– Lubię nawet sam ryż, bez fasoli, bez niczego. Przysięgam.

Aktorka śmieje się, całuje mnie, gryzie po dłoniach i ramionach, mówiąc, że zje mnie całego, szczypie mnie w policzki. To boli, ale nie narzekam, to część sceny. A potem

wstaje, bierze mnie na ręce i zaczyna się kręcić, a ja poddaję się temu i oboje, jakbyśmy byli jedną osobą, wirujemy szaleńczo. Matka zagląda i mówi, że jak będę zbyt rozbawiony, to nie zasnę. Czy mnie to martwi? Wcale mnie to nie martwi, oczywiście! W najmniejszym stopniu nie martwi to ani aktorki, ani mnie! Podążamy wydeptaną ścieżką przez drzwi, przez ganek, a potem na zewnątrz. Oboje, z łomoczącymi sercami, łapiąc oddech, wyciągamy się na miękkiej trawie i patrzymy w gwiazdy – maleńkie żaróweczki, które oświetlają nasz teatr! Jesteśmy szczęśliwi i spełnieni. Oczywiście! Mój debiut to triumf. Szczekanie Poety, mojego psa, to aplauz, który to potwierdza. Jego ekscytacja, gdy liże mnie po twarzy, to niepodważalny dowód na to, że publiczności się podobało.

– Antonio, bardzo cię kocham, wiesz?

– Ja też cię kocham, ciociu Palmo.

– Wcale nie! Jak bardzo? Powiedz.

Rozpościeram ramiona najszerzej jak się da. Ciotka Palma droczy się ze mną.

– Tak mało?

Trzymam ramiona najmocniej rozpostarte. Patrzę z jednego końca na drugi. Wyciągam palce, próbując dosięgnąć jeszcze większej miary miłości. Daremny trud. Ale pokażę jej, że nie poddam się łatwo. Nawet jeśli zajmie to trochę czasu.

– Jak urosnę, to moje ręce też urosną, prawda?

– Oczywiście, że tak, skarbie.

Wzruszam ramionami i podaję najlepszą ofertę.

– W takim razie będziesz musiała poczekać, aż urosnę.

Uśmiech ciotki Palmy pokazuje, że pomiędzy jednym kącikiem ust a drugim, nawet się nie starając, potrafi zmieścić całą miłość świata. Niezmierzoną miłość, która nie potrzebuje wielkich słów ani gestów. Wtulamy się w siebie na chłodnej

trawie, niczym dwa zwierzątka. Poeta wciska się tam, gdzie nikt go nie zapraszał. On też jest zwierzątkiem, umie znaleźć sobie miejsce i nikt go nie przegania.

Bezkresne ukojenie nagle się kończy.

– Lepiej wróćmy do środka. Twoi bracia i siostra już dawno są w łóżkach.

www.wydawnictwokobiece.pl/nasze-ksiazki/

www.wydawnictwokobiece.pl